

Mama, Ewa i ja
na polu, którym
kończyło się miasto



Musiałam w końcu wołać:

Darowane kreski, darowane kreski!

Staś i Adaś, i nie pamiętam, kto tam jeszcze, wyskakiwali w jednej chwili z jakichś zakamarków i wołali:

– Joanna – przegranna!

Ale nie zdążyłam się nawet porządnie popłakać, bo od razu zagadali mnie, złapali za ręce.

– Chodź, pokażemy ci swoje schowanka, zobaczysz, jakie nie-wi-dzial-ne!

Kiedy słońce zachodziło za polem, niebo robiło się pomarańczowe, czerwone, fioletowe i granatowe. Kiedyś jednak

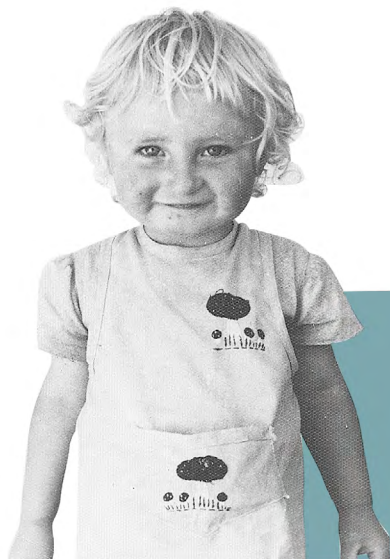
wszystko się poplątało. Niebo ciągle było czerwone, mimo granatowej nocy, i pływały po nim kożuchy, jak po mleku, tylko że czarne. Mama wtedy specjalnie wzięła mnie na ręce, żeby mi pokazać te kożuchy, i powiedziała: „Pamiętaj” albo „Patrz – to Niemcy palą getto”. I jeszcze pytała mnie, czy ja wiem, że jest wojna, co ja, oczywiście, wiedziałam.

Właśnie przez tę wojnę nasz dom stać się musiał domem z bajki, takiej bajki pod tytułem *Goście w glinianym garnku*, którą czytało się z książki *Wesołe historie*. W tej bajce gliniany garnek leży sobie na polu, zaś w środku gwar i brzęczenie, bawią się różne muchy, bąki i trzmiele i ciągle przybywa nowych gości. U nas także ciągle rozlegało się „stuk-stuk” i ktoś wchodził do środka, i wszyscy zawsze się mieścili. Bo było nas tak dużo, że już jedna osoba mniej czy więcej nie robiła żadnej różnicy. Tak przynajmniej mówiła moja mama, podczas gdy babcia Tosiunia była innego zdania i czasem mruczała sobie cicho, że to jest lekkomyślność i narażanie dzieci.

No i rzeczywiście – w końcu przyszedł niegrzeczny miś i palnął łapą w garnek, rozbił go – i wszystko się rozleciało na cztery strony świata, jak w tej bajce, ale to było dopiero potem.

Na razie jednak goście przychodzili i przychodzili, i było bardzo wesoło. Przychodzili więc koledzy do moich starszych braci, a samych braci miałam niemało: Krzysia i Przemka, Marka i Andrzeja, a potem zjawił się jeszcze Jurek i duży brat Bogdan.

Ich koledzy – nie pamiętam już, jak się nazywali – lubili robić sztuki na trapezie, który wisiał w drzwiach, raz przynieśli białe, śliczne myszki, których moja mama wcale nie lubiła,



Stoczek. Tomek w muchomorkach

Zbliżała się śmierć z kosą i ciach – głowa Heroda znikwała w potokach czerwieni. To była taka teatralna sztuczka, że płaszcz królewski Heroda miał wielki biały kołnierz, podszyty od spodu czerwonym materiałem. Kiedy śmierć zaczęła kosą o kołnierz, Herod w tej samej chwili pochylał się, a czerwony kołnierz spadał mu na głowę i zakrywał ją, jakby była obcięta. A mnie ścisnęło się serce, bo ten Herod to był mój brat, Marek...

Nie wiem, ile było tych jasełkowych przedstawień, ale chyba skończyły się razem z zimą. Ale zaraz zaczęły się jakieś następne próby: śpiewania, recytacje, czytania. Na kolonii stoczkowskiej był bowiem z nami taki pan Tadeusz, który w swoim normalnym, przedwojennym życiu pracował w teatrze. On właśnie, razem ze swoją żoną, panią Ireną, przygotowywał te wszystkie widowiska, a dzieci były aktorami. Lubiłam siedzieć sobie w kącie i przysłuchiwać się próbom. Można było tam usłyszeć rzeczy zupełnie niezrozumiałe i wstrząsające w swojej dziwności.

Jeden wiersz był bardzo trudny i może dlatego go tak zapamiętałam, że wiele razy aktorzy musieli go powtarzać, a pan Tadeusz ciągle ich poprawiał, że mówią źle. Był to wiersz o wojnie, o rybie, leszczu, która mieszkała w jeziorze, i o rozkwitających pękach białych róż, a potem głos jakiś przerywał piosenkę słowami:

*Nie śpiewajcie, chłopcy, pieśni tej,
zanadto smutna...*

Ale kiedyś pan Tadeusz urządził przedstawienie maluchów.



W Stoczku: ciocia
Lunia opiekowała się
chorymi dziećmi



Przemek - mistrz ubierania choinki

przeważnie koślawe, wymazane klejem, a czasem nawet już na choince niektóre kolce „puszczały”, czyli rozklejały się i bombka traciła cały szyk.

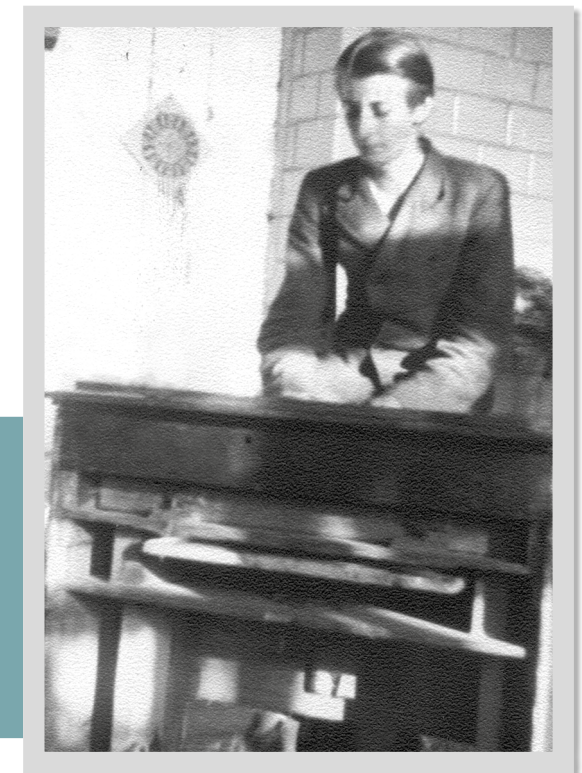
Drugi rodzaj bombki, wprawdzie bez klejenia, powstawał z przemyślnego kilkakrotnego składania krążków bibułki i również łączenia ich nitką. Dla mniej zręcznych i doświadczonych pozostawały takie zabawki jak „pawie oczka” sklepane z coraz mniejszych kolorowych kółek, a nadto różne wyklejanki i wylepianki własnego pomysłu, byleby tylko dyndały na nitce, a w których nieograniczoną pomysłowością wyróżniał się Tomek.

Jak z tego wynika, robieniem zabawek na choinkę zajmowała się głównie żeńska część rodziny. Lecz i chłopcy czasami przysiadali na chwilę, udzielali nam rad, mierzyli łańcuchy, a przy okazji ten czy ów od niechcenia coś zmajstrował. Najzręczniejsze palce miał najstarszy z nas, Przemek. Potrafił robić wydmuszkowe cuda – dzbanuszki, mikołaje – aż wytrzeszczaliśmy oczy z podziwu.

Ale nie myślcie sobie, że chłopcy nie brali udziału w przedświątecznych przygotowaniach. Oni to właśnie kupowali choinkę i z pietyzmem umieszczali ją na balkonie, oni pastowali

i froterowali podłogi, a przede wszystkim spiskowali. Wszystkie te porozumiewawcze spojrzenia i szepty, zamykanie się z tatą w pokoju, wnoszenie jakichś pakunków za plecami, wywoływanie mnie czy Tomka z przedpokoju czy stołowego pod jakimś pretekstem, który nawet nie dbał o pozory prawdopodobieństwa – mieli doprowadzone do takiej doskonałości, że przedświąteczna atmosfera podgrzewała się do takiej temperatury, iż wydawało się, że zaraz cały dom z hukiem wybuchnie.

Nie chodziło oczywiście tylko o utrzymanie w sekrecie prezentów dla nas. Uchodziliśmy za „paple”, czyli osoby nieodpowiedzialne, którym ani okrucz tajemnicy nie może



Przemek umiał
grać na
kazdym
instrumencie